

Leon Knabit OSB

EUCHARYSTIA BUDUJE WSPÓLNOTĘ PARAFIALNĄ

1. Wstęp.

Najpierw muszę się przedstawić. Może bowiem ktoś zapytać: Cóż ma do powiedzenia mnich benedyktyński na temat parafii?

Wyświęcony w roku 1953 w Siedlcach byłem przez pięć lat kapłanem diecezjalnym. W klasztorze benedyktynów w Tyńcu (znanym chyba znacznej części moich słuchaczy, jako że kapłani diecezji przemyskiej często odprawiali u nas rekolekcje) byłem do roku 1983 katechetą, a przez siedem lat także proboszczem. Następnie przebywałem przez dziesięć lat w klasztorze w Lubiniu k. Kościana w Wielkopolsce, gdzie również uczyłem dzieci zarówno w salce katechetycznej, jak i w szkole, a także przez blisko trzy lata kierowałem parafią. Będę więc mówił o sprawach znanych mi z doświadczenia.

2. A. Parafia.

O kryzysie parafii mówi się już od dawna. Wielu uważało i uważa nadal, że ta forma duszpasterzowania już się przeżyła. Nie należy się dziwić takiemu stwierdzeniu. W nowej rzeczywistości wszystkie chyba struktury kościelne przeżywają kryzys, nie mogą się często zmieścić w zmieniających się warunkach społecznych, politycznych i ekonomicznych. Zanim więc wymyśli się coś bardziej skutecznego, mamy do czynienia z parafiami takimi, jakie są. Przeżywamy je w naszej sytuacji, która po 19 września zmusza nas do stawiania wielu znaków zapytania. Czyja „wina”, że wygrała

lewica? Czy działamy za mało skutecznie? Dlaczego zmalała nasza wiarygodność? - itp. Nie chcę rozwijać tego wątku. Zamiast rozważać przyczyny, patrzę na efekt. Podobnie, jak w piłce nożnej: owszem gra jest bardzo ważna, ale ostatecznie liczą się gole. Nasze zaś „gole” wyglądają tak: mimo zachęcania przez Kościół hierarchiczny do udziału w wyborach, udział w nich wzięło nieco więcej niż połowa, z tej połowy zaś tylko 9,3% głosowało na ugrupowania legitymujące się nazwą „katolicki”. Chyba dla nas, duszpasterzy - „wojska frontowego” - ten wynik nie był aż tak wielką niespodzianką. Nie oznacza on przecież ogólnego odejścia od wiary, od kultu zwłaszcza.

A teraz konkretnie: nasza parafia. Dla nas pojęcie „parafia” nie jest zdezaktualizowane, nie jest przeżytkiem. Kiedy pytam się, jaka parafia, odpowiedź brzmi na ogół: dobra lub zła. Znaczący to często: bogata lub biedna, zadbana lub zaniedbana. Pod pewnym zresztą względem wszystkie parafie są takie same. Chyba wielu parafian podpisać by się mogło pod stwierdzeniem zacnych rolników z Wielkopolski, którzy po wyjściu z kościoła, stwierdzają: „Komuneśma przetrzymali, ale teraz - pana i plebana - to uważej, uważej!”

Są środowiska, gdzie kapłan poza kościołem jest zupełnie obcy (czy wobec tego jest kimś „swoim” w kościele?). Po takim np. Kościanie chodziłem przez rok blisko w habicie, załatwiając rozmaite sprawy i od nikogo nie usłyszałem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” czy „Szczęść Boże”. Obrzucano mnie zwykle wielce zadziwionym spojrzeniem, a raz nawet małe dziecko, wyciągając w moją stronę paluszek, zapytało: „Mamo, cio to?” - „Cii, to ksiądz...?”. Wydaje mi się, że to dziecko w swoim życiu sutanny na ulicy nie widziało. Ale jest i inaczej. Wierni reagujący wspaniale na wezwania duszpasterzy, wiele wspólnot i grup, rozeznanie potrzeb bytowych potrzebujących parafian i zaradzanie im... W Zakopanem np. małe dzieci lecą z drugiej strony ulicy, wołając „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... A bo proszę księdza, u nas w szkole Ela powiedziała...” - i rozmowa nawiązuje się od razu, jak z kimś bliskim. Czy w Gliwicach, gdzie podczas piętnastominutowego przejścia z dworca PKP do miejsca, w którym miałem się zatrzymać, pozdrowiono mnie dwanaście (liczyłem!) razy. Pozdrawiającymi byli ludzie rozmaitej płci, wieku i kondycji.

Rodzi się więc stare i wciąż aktualne pytanie: jak utrzymać i rozwinąć to co dobre, jak poradzić sobie ze złem? O. Piotr Rostworowski, dzisiaj kameduła w dalekiej Kolumbii, mawiał przed 30-tu chyba laty: „Jeśli mamy pełną sieć ryb, pozwolimy, by z tej sieci wypłynęły, a potem łapiemy

każdą z osobna na wędkę, to jesteśmy bardzo marnymi duszpasterzami...” Któż z nas nie widzi, że liczba ryb w sieci zmniejsza się w sposób niepokojący? Co więc robić, by wykorzenić zło istniejące, by zapobiec mu tam, gdzie da się zapobiec? Po to właśnie odbywa się tyle kursów, konferencji, sympozjów i narad duszpasterskich. Po to wielu etatowych mówców snuje mniej czy bardziej przydatne teorie, po to „zabiera się” czas na duszpasterstwo przeznaczony, po to i my tutaj jesteśmy.

2. B. Eucharystia.

Eucharystia jest ośrodkiem i podstawą wszelkiego działania, zmierzającego do utrzymania i rozwinięcia dobra, do usuwania zła, po prostu do budowania parafii. Kiedyś jako kleryk seminarium diecezji siedleckiej, spotkałem się z księdzem profesorem, który na egzaminie z teologii pasterskiej zapytał kleryka, co jest centrum parafii. - Kościół, odpowiada zapytany. - Kościół?! - jak można tak mówić?! - No więc tabernakulum, poprawia się delikwent - Tabernakulum? To tylko Żydek tak może powiedzieć... Uzgodniono wreszcie, że Pan Jezus w Najświętszym Sakramencie. To było już wiele lat temu, ale czy i dzisiaj nie zauważamy, że w rozmowach i dyskusjach dotyczących Kościoła Chrystus jest na ogół nieobecny. Porusza się tematy pochodne, może bardzo ważne, ale wtórne: aborcja, klerykalizm, religia w szkole, wartości chrześcijańskie (ośmieszane zresztą często jako bardzo nieokreślone, że niby to nie wiadomo, o co właściwie chodzi), dążenie Kościoła do władzy itp. Ale Chrystus? Występuje może gdzieś jako fakt interesujący uczonych - historyków, może mistyków, ale w życiu publicznym przeciętny chrześcijanin zbyt mało z Nim ma do czynienia. I oto w Eucharystii Jezus jawi się jako Ktoś bardzo bliski: do ofiarowania, do spożywania, do adoracji. Ktoś, kto może odpowiedzieć na głębsze, nieraz nie w pełni uświadomione potrzeby człowieka, który nie może znaleźć szczęścia w dzisiejszym zaścieszaniu, w walce o przetrwanie.

By więc tę Boską Rzeczywistość przybliżyć i bardziej niż dotychczas uczynić własnością większej jeszcze liczby naszych parafian, trzeba nam wzmóc realizację trzech zadań, do których zaliczyłbym: nauczanie, czyn i świadectwo.

I. Nauczanie.

Nieznajomość liturgii jest nieznajomością wiary. I dlatego Sobór Watykański II zajął się najpierw odnowieniem liturgicznej służby Bożej w całej jej rozciągłości. Owszem, owoce obrad soborowych przyniosły świeży powiew i ożywiły pobożność. Przyczyniły się do głębszego wejścia w Misterium Christi. Powoli jednak i to spowszedniało. Dzisiaj liturgia, choć jest bardziej niż kiedykolwiek „dla ludu”, nie wydaje się wpływać zasadniczo na osłabienie procesu laicyzacji, stwierdzanego w wielu naszych parafiach.

Trzeba więc nam w głoszeniu Słowa znaleźć wśród wielu tematów więcej miejsca na przypomnienie o żywej obecności Chrystusa w Eucharystii, jako znaku i gwarancji Nowego Przymierza człowieka z Bogiem. Człowiek dzisiejszy czuje się często samotny i opuszczony w swych aktualnych kłopotach, wobec licznych zagrożeń zewnętrznych i wewnętrznych. Ztraca świadomość, że moc chrześcijanina jest w dostępnym na wyciągnięcie ręki Chrystusie Eucharystycznym. Warto przypomnieć w naszym nauczaniu, że chrześcijaninem jest się najbardziej w czasie Eucharystii.

W Eucharystii realizuje się umacniająca obecność Jezusa w zgromadzonym ludzie Bożym, w Słowie Starego i Nowego Przymierza oraz w Postaciach Sakramentalnych. Przeżycie na nowo tej prawdy jest w stanie obudzić nadzieję, wzbudzić odwagę i męstwo. Bóg, który w Ciele i Krwi swego Syna zawiera na nowo Przymierze z człowiekiem, nie zostawia go samego. Zjednoczenie z Bogiem jest najmocniejszą podstawą jedności między ludźmi. Dlatego trzeba na nowo przypominać, że wszystkie te owoce, tak potrzebne w dzisiejszych czasach, zyskamy w pełni wtedy, gdy w Liturgii Eucharystii w pełni uczestniczymy. Niemy widz, stojący w kacie ze znudzoną miną, ma prawo potem powiedzieć "Co mi Kościół daje?" Jeśli natomiast chrześcijanin najpierw sam da, da wysiłek duchowy umożliwiający pełne korzystanie z Eucharystii, wtedy z pewnością będzie obdarowany ponad to, czego się spodziewa.

Przy tej okazji warto przypominać, że wszystkie akty pokutne nie mają na celu poniżania człowieka, ale chcą mu dopomóc, by stanął w prawdzie przed Bogiem i przed samym sobą. Nadanie odpowiedniej rangi aktowi pokuty w odnowionej liturgii Mszy św. pomaga zrozumieć jego sens oczyszczający i jednoczący ze wspólnotą wierzących.

Prośmy Pana, byśmy umieli nauczyć parafian tęsknoty za dobrem trudnym wprawdzie, ale jedynie prawdziwym, za wartościami, które nie przemijają.

II. Czyn.

Starsi kapłani pamiętają jak było przed Soborem. Cała Msza św. po łacinie. A więc - kapłan sobie, wierni sobie. Lekcja, Ewangelia i kazanie - najczęściej po Mszy św. Znaczna część wiernych wtedy wychodziła. I jakoś to było, bo przecież wszystko razem było i dla Boga i dla ludzi. A nawet czasem było i bardzo dobrze. Ludzie się wyśpiewali na Nieszporach i innych nabożeństwach dodatkowych, często i podczas Mszy, kiedy to śpiewało się pieśni od początku do końca, czasem Godzinki, a nawet odmawiało się Różaniec. W niektórych diecezjach nawet nie wolno było podczas uroczystych Mszy udzielać Komunii św.(!) - dopiero potem. Powoli taki stan rzeczy przestawał zadawać. Czuło się podskórnie jakiś fałsz, zwłaszcza, gdy się z historii dowiadywało, czym była Uczta Eucharystyczna dla wiernych. Po wielu więc latach prób, eksperymentów i zarządzeń mamy wreszcie to, co mamy. Trzeba więc postawić sobie znów pytanie, czy i jak wykorzystujemy wszystkie możliwości jednoczenia parafii przy ołtarzu, a w konsekwencji i w życiu. Czy wprowadzamy w życie tę zasadę, że w akcji liturgicznej nie powinno być podziału na „widownię” (nawę) i „scenę” (ołtarz z prezbiterium)? Wszyscy jesteśmy „aktorami”, wszyscy sprawujemy liturgię, wypełniając funkcje liturgiczne. Inaczej wtedy wygląda uczestnictwo. Widać to najlepiej podczas Mszy św. dla dzieci. Nie nudzi im się wtedy, gdy są zajęte: jedni służą, inni (inne) czytają i śpiewają, niosą dary, może nawet procesyjnie podchodzą do Komunii św., a nawet zbierają składkę - tacę (z tym ostrożnie!). Czas im się psychologicznie nie dłuży. Nie narzekają, że kościół to jest najnudniejsze miejsce na świecie. Czy tak jest też na Mszach dla starszych? Jasne - wiele mamy rozmaitych zajęć, mało czasu, ale wszystko zależy od tego, czemu dajemy w naszej pracy duszpasterskiej priorytet. Można być, owszem, „księdzem orkiestrą”, który sam wykonuje wszystko od początku do końca, często nawet ministrantów nie może zgromadzić. To jednak ideałem być nie może. Warto włożyć główną część swych wysiłków w przygotowanie liturgii tak, by Msza św. była rzeczywiście moją i waszą ofiarą, moją i waszą akcją. Świątobliwy proboszcz z podwarszawskiego Izabelina, ks. Aleksander Fedorowicz, który zaraz po wojnie tworzył swą parafię wprost z niczego, zaczynał od Mszy św. Ją uczynił centrum swego pasterzowania, na długo przed Soborem starał się o czynne uczestnictwo wiernych w Eucharystii. Po dziesięciu latach swej posługi mógł się cieszyć, że wierni, którzy go posłuchali, a zebrała się ich pokaźna stosunkowo licz-

ba, zrozumieli wagę Mszy św. i z niej czerpali siły do własnego życia religijnego i do apostołstwa.

Kolejny więc etap odnowy (tak, wciąż odnowy!) liturgicznej można zacząć od Mszy dla małych grup, które istnieją przy wielu parafiach. Można zapraszać na dni powszednie poszczególne klasy, rozdzielwszy przedtem dzieciom zadania. Mniejsza ilość uczestników pozwala przewyciężyć tremę i onieśmienie, pozwala na głębsze wejście w tajemnicę. Pamiętam podczas jednej takiej Mszy, którą odprawialiśmy w Tyńcu dla klasy 6-tej w dzień powszedni, dało się wyczuć autentyczne zaangażowanie i przeżycie. Poleciałem dzieciom, by opisały potem swoje wrażenia. Jeden chłopiec tak zaczął swe wypracowanie: „Ja bardzo przepraszam Pana Jezusa, że nie byłem na tej Mszy u Komunii, kiedy wszyscy byli...”. „Ruszyło go”. Oby tak „ruszało” wszystkich, którzy w niedzielę stronią od Uczty. Łączy się to z problemem należycie wypełnionego III Przykazania Bożego. Pełne uczestnictwo we Mszy św. począwszy od sobotniego wieczoru. Warto jeszcze raz wyjaśnić i odpowiednio przygotować sens rozpoczęcia świętowania niedzieli już w sobotę po południu. Widzimy, jak społeczeństwo, rozbite, rozgoryczone, pełne wzajemnych uraz i niechęci, próbuje jednak łączyć się, spotykając się przy stole z racji imienin, urodzin, chrzcin, wesel, pogrzebów czy świąt. Poziom tych spotkań, mających ludzi integrować, jest rozmaity, choć nie zawsze zdecydowanie zły. Warto włożyć wiele wysiłku duszpasterskiego, by uświadomić wiernym, że to właśnie wspólne spożywanie Ciała Chrystusa jest uczta integrującą mniejsze i większe wspólnoty, a wraz z nimi i całą parafię.

A Komunia chorych? Ci właśnie mają najczęściej dużo czasu na przemyślenie i pogłębienie swego stosunku do Boga. Ci bardzo często prawdziwie tęsknią za Jezusem, ale cóż? „Nasz ksiądz nie ma czasu...”. Truizmem byłoby przypominanie o znaczeniu dla całej parafii, a szczególnie dla duszpasterza, roli chorych, oddających się modlitwie i posilanych Eucharystią. A może by właśnie zacząć myśleć o możliwościach, które dają nowe przepisy, o ludziach świeckich, którzy by posługę eucharystyczną względem chorych pełnili?

I jeszcze adoracja. Dla wielu parafii czas adoracji, zwłaszcza dłuższej, jest wielkim wydarzeniem. Przy kościele wciąż wiele ludzi. Przycho-dzą, odchodzą, zmieniają się wyznaczone dzieci, młodzież i starsi. Jedni jeszcze coś przygotowują, inni już wykonują. Często dochodzą jeszcze specjalne stroje - płaszcze czy welony. Czuje się, że w parafii coś się dzieje.

A jest i tak, że tradycyjnie wyznaczają się ulice, dzielnice czy wioski. W swoim

terminie przyjdą trzy lub cztery osoby, które albo milczą albo coś tam próbują mruczając lub zawodząc Jezusowi przedstawić. Zalatany duszpasterz wsadzi na chwilę nosa do kościoła, pokręci głową i ... tak do następnego razu.

Przysłużmy się bardziej do organizowania adoracji, wciągajmy grupy, zespoły czy nawet poszczególnych sensownych ludzi. Sprawa jest wielkiej wagi i jej wartości nie można nigdy przecenić.

III. Świadectwo.

Od świadectwa trzeba by było właściwie zacząć, ale dla kompozycji umieściłem ten punkt na końcu. Jan Paweł II tak pisze w *Liście do biskupów o tajemnicy i kulcie Eucharystii*: „A jeśli jest ona powierzona także całemu ludowi Bożemu, wszystkim wierzącym w Chrystusa, to nam jednak powierzona jest Eucharystia niejako „wobec” innych, którzy od nas oczekują szczególnych dowodów czci i miłości dla tego sakramentu, ażeby przez nią mogli budować i ożywiać siebie samych ku składaniu duchowych ofiar.

Eucharystia jest główną i centralną racją bytu sakramentu kapłaństwa, który definitywnie począł się w momencie ustanowienia Eucharystii i wraz z nią.”

Warto sobie wciąż na nowo uświadamiać, że wprawdzie nie dla samej Mszy (*ad solam Missam*), ale głównie dla Mszy czy raczej dla Eucharystii jesteśmy święceni. Jak więc dzisiaj pojmujemy rolę Eucharystii w naszym życiu? Kapłan często nie dostrzega, że już nie powiem mniej lub bardziej świadomie bagatelizuje rolę swego świadectwa w tym względzie. Na pierwszym planie trzeba postawić samo „odprawianie” Mszy św., czyli przewodnictwo w Liturgii Eucharystycznej. Czy wierni uczestnicząc razem z nami są wciągnięci w misterium? Pewien świecki człowiek o głębszym życiu wewnętrznym powiedział mi kiedyś: „Czy ksiądz zdaje sobie sprawę, o jaką rzeczywistość chodzi, gdy rozpoczyna Mszę św. w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego? Przecież to jest najwspanialsza modlitwa, która zawiera w sobie wszystko! Jaką mocą ksiądz dysponuje, jak może ogarnąć zgromadzenie wiernych i jak nim pokierować!”

Kiedyś w Tyńcu w Wielki Piątek po pełnym ekspresji i głębokiego przeżycia obrzędzie Liturgii Męki i Śmierci Jezusa zdarzyło się, że mnisi wychodząc z kościoła, tuż za drzwiami dzielili się uwagami, rozmawiali odprężeni, „bo już się skończyło”. Przy najbliższej okazji przełożony wspomniał to współbraciom, poleciwszy osobistej refleksji problem, czy gramy tylko pobożne przedstawienie, czy też przeżywamy głęboko rzeczywistość zbawczą wyrażaną znakami liturgicznymi. Mamy być wierzącymi

świadkami zbawiającego lud swój Chrystusa. Świadek to nie może ograniczyć się tylko do poprawnego - albo i nie - odegrania swej roli podczas funkcji liturgicznych. Chyba coś podobnego, jak z dzwonem. Po ostatnim uderzeniu serca, długo jeszcze rozbrzmiewa w powietrzu cichnący powoli dźwięk. Dźwięk dzwonu sztuczny, nagrany na taśmę, często urywa się nagle. Czegoś brakuje. Jak długo trwa w nas prawda naszego przeżycia?

Wejźmy na chwilę do zakrystii, w której przebywają też ministranci, siostry zakonne, ludzie świeccy, ktoś ze służby kościelnej. Czy jest ona miejscem przygotowania do Sacrum i dziękczynienia, czy też rozmów, śmiechów, sporów, hałaśliwego załatwiania różnych spraw - pod ciepłym napisem „*Pan blisko - zachowaj milczenie*”? A zachowanie się w kościele podczas nabożeństw, sprzątnięcia, oprowadzania turystów i pielgrzymów? Chyba każdy z nas ma tu coś do poprawienia. Jaką rangę ma też wśród naszych zajęć czas dla Eucharystii poza oficjalnymi czynnościami? Opowiadał generał paulinów, że Ojciec św. podczas pierwszej i drugiej (przynajmniej) pielgrzymki do Polski po bardzo pracowitym dniu, zaczynającym się o 6³⁰ przychodził do zakonnej kaplicy ok. 11³⁰ wieczorem i tam klęczał bez oparcia przed tabernakulum jeszcze ponad półtorej godziny. A kiedyś pewien dostojnik duchowny i to zakonny powiedział: „Tyle się człowiek napracuje, że wieczorem ma siłę tylko na oglądanie telewizora.” Na szczęście nie wszyscy słuchacze mieli siłę „tylko” na telewizor.

Dobrze jest też czasem być na Mszy św. jako uczestnik zwykły, na modłę laikatu. A tymczasem wiemy to z doświadczenia, że jeśli jakieś spotkanie kapłanów rozpoczyna się Mszą św., to znaczna ich część zwykle nie bierze w niej udziału. Przybywa dopiero na obrady. Kiedyś przy wprowadzaniu nowej liturgii mszalnej w latach sześćdziesiątych mieliśmy jako benedyktyni pokazać praktycznie kapłanom zebranych w Krakowie na konferencji, jak powinien wyglądać komentarz do Mszy św. Zaczęło się od tego, że cały przód kaplicy seminaryjnej był wolny, natomiast kapłani - uczestnicy „starym ojców obyczajem” tłoczyli się przy drzwiach i pod chórem. Jako komentator zaprosiłem wtedy serdecznie i z uśmiechem ten niecodzienny laikat do zajęcia miejsca bliżej ołtarza. Posłuchało tylko paru. „No więc widzicie, Drodzy Księża, dlaczego nasi wierni, zwłaszcza mężczyźni, mimo naszych napomnień, nie są przekonani do zajmowania miejsc bliżej ołtarza. Czują, jak bardzo my jesteśmy do tego przekonani”. Jeśli Eucharystia ma tworzyć i skupiać wspólnotę wiernych świeckich, jak bardzo powinni być wspólnotą ci, którzy są Jej szafarzami!

Kiedyś podczas przyjęcia po konsekracji kościoła - było to w Archidiecezji Krakowskiej - proboszcz wobec biskupa za łzami w oczach dziękował braciom kapłanom za pomoc, bez której oddanie świątyni do użytku nie byłoby w tym czasie możliwe. „Mimo trudności - mówił - robota się przy kościele rozkręciła na dobre i nagle - wobec nieprzewidzianych wydatków - zabrakło pieniędzy. Jutro robotnicy mają przyjść, a ja już nie mam na wypłatę. Po południu wpada do mnie na motorze (tak, tak, to jeszcze były motory!...) ksiądz-kolega. - Cóżes taki smutny? - Nie mam powodów do radości. Patrz, wszystko idzie na cały gaz, a ja jutro muszę przerwać pracę. Nie mam forsy. Nie wiem, co zrobić... - Nie bój się, nie łam się, coś zrobimy... Okazało się, że objechał na tym motorze bliższych i dalszych kolegów, przedstawił sytuację i wprost wymuszał pomoc. - Daj, bo chłop się załamie. Jutro może ciebie spotkać to samo. I dali. Nie pożyczali, ale dali. Śmiali się potem, że ten wyciągał z pieca, ten z pończochy, ale biedzie zaradzono, ksiądz kryzys przetrwał, a potem pieniądze się znalazły i oto kościół stoi”.

Inny przykład. Kończymy spotkanie z kapłanami gdzieś koło 20³⁰. Jeden z nich bardzo się spieszy. - Dokąd? - Do Waksmundy jeszcze muszę jechać, bo tam kolega ma imieniny. - No to, na którą ksiądz tam będzie? - No tak po dziesiątej. Posiedzę półtorej godzinki i koło wpół do drugiej będę w domu. - Ale przecież jutro normalny dzień pracy?! - E, jakoś się poradzi, a do niego - trzeba jechać. Nie zachęcam oczywiście do zarywania nocy, ale z pewnością przytoczone wyżej przykłady - a jestem przekonany, że moi Czcigodni i Drodzy Słuchacze mogliby z własnego doświadczenia wiele podobnych przytoczyć - najlepiej świadczą o tym, jak Eucharystia buduje prezbiterium. Ale bywa też, że proboszcz z wikariuszem porozumiewają się za pośrednictwem kartek pocztowych, choć mieszkają w tym samym budynku, albo nawet i przez Burka. Tak, przez psa. „Burek, powiedz księdzu wikaremu, że jutro jest pogrzeb o 9-tej” - rzecze proboszcz do swego wiernego czworonoga. Wikary na to: „Burek, powiedz księdzu proboszczowi, że ksiądz wikary ma w tym czasie katechizację”. Znaczący przedmiot mówią, że to autentyczne i jak najbardziej na serio. Na serio...

A przecież od początku chrześcijaństwa owocem Eucharystii było stwierdzenie ówczesnego świata: „Patrzcie, jak oni się miłują”. Jeśli więc wierni są świadkami prawdziwej miłości między pasterzami, można im bardziej efektywnie mówić o miłości wzajemnej, która jest konsekwencją uczestnictwa w Eucharystii.

A nasz stosunek do wiernych, naszych parafian?

Eucharystia sprawowana we wspólnocie duchownych i laikatu zakłada służebną rolę kapłaństwa hierarchicznego. Przed Soborem Watykańskim II Kościół przedstawiany był raczej jako piramida, na której szczycie był Chrystus, a w przestrzeni widzialnej Papież, a pod nim coraz szersze „warstwy”: biskupi, kapłani, świeccy. Dzisiaj ten schemat jakby stanął na głowie. Można zresztą mówić raczej o drzewie, którego koronie służą gałęzie, konary i pień wraz z Korzeniem (Radix Jesse). Jak więc ma wyglądać ta nasza służba? Grożą nam dwie skrajności: z jednej strony całkowite wtopienie się w świeckość. Kapłan staje się kolegą, więcej, „kumplem” dla wiernych. Wyrazem zlaicyzowanego stylu życia może być niechęć do stroju duchownego, palenie i picie, bardzo swoiste traktowanie celibatu przy rezygnacji z ojcostwa duchowego (jak ja go będę spowiadał, głosił mu kazania, kiedy ja z nim piję? - mówi do mnie młody ksiądz wikariusz. - A nie może ksiądz z nim nie pić? - O, to już musi być wysoki poziom życia duchowego...). Taki ksiądz ma często bardzo wielu zwolenników w parafii. Z drugiej znów strony może być całkowite odcięcie się od wiernych, nie liczenie się z ich opiniami, co łączy się z brakiem rozeznania, czy takie duszpasterstwo jest owocne. Na szczęście, między dwiema postawami jest jeszcze cała gama pośrednich możliwości. Prawda, jak zwykle, leży pośrodku. Podstawą naszego stosunku do sióstr i braci świeckich powinna być miłość pełna roztropności, rodem z Wieczernika. Wspólne przeżywanie Eucharystii przypomina nam wciąż, że wierni są nam dani, byśmy pomogli im być świętymi. Mamy ich podprowadzać do uzyskania dojrzałości w wierze i przyjęcia współodpowiedzialności za Kościół w duchu „*Christifideles laici*”. Odpowiedzialność ta nie może posuwać się aż do tego stopnia, że „nam klecha jest potrzebny tylko do odprawiania Mszy świętej”, jak to usłyszeliśmy kiedyś, przepraszam, podsłuchiwaaliśmy! na konferencji, którą głosił do grupy zaangażowanych katolików ich animator. Jednocześnie nasza działalność duszpasterska nie może podtrzymywać wiernych w przekonaniu, że Kościół - to „oni” - księża i biskupi. Grupa świeckich przyszła kiedyś do kapłana, przedstawiając mu program swego uczestnictwa w odpowiedzialności za Kościół lokalny. Zacny ów pasterz uniósł się gniewem, zarzucając owieczkom herezję. Na to one poprosiły o dokumenty soborowe i wspólnie odczytano odpowiednie fragmenty konstytucji „*Gaudium et spes*”, którą właśnie ta grupa studiowała. Ksiądz się speszył. Gdzież miałby on czas i chęć na studiowanie tekstów Soboru, tych zwłaszcza, które skłaniają do przeorientowania swego sposobu myślenia o współpracy ze świeckimi. Przed tą współpracą bronimy się nieraz mówiąc, że ogół wiernych wie o Kościele

bardzo mało. To prawda, nie mamy złudzeń co do tego, jaki jest poziom intelektualny naszego katolicyzmu. Ale na to trzeba zapytać, kto jest odpowiedzialny za katechizację dzieci, młodzieży i dorosłych? Przecież olbrzymia większość młodego i średniego pokolenia przeszła przez nasze ręce i to w czasach katechizacji parafialnej, którą wielu z nas do dzisiaj uważa za jedyne rozwiązanie problemu. Czegośmy ich nauczyl? Dzisiaj w kazaniach mówimy do nich o problemach wiary i moralności, używając oczywistych dla nas pojęć: dogmat, teologia, ekumenizm, liturgia, cnota, itp. Tymczasem dla boleśnie wielkiej części słuchaczy słowa te nie mówią nic. A przynajmniej bardzo niewiele. Pytam kiedyś w drugiej licealnej, co to jest cnota. Nie wie nikt. - No, cnotliwy, to jaki? - niecierpliwę się. Wreszcie jedna śmielsza i bardziej rozgarnięta (jak widać) dziewczuszka mówi: - Cnotliwy, to taki roztrzepany...

Sygnalizują nam „doły”, jak często jesteśmy w błędzie, gdy zakładamy odpowiedzialną wiarę naszych słuchaczy - chodzi w tym wypadku o kazania. Bardziej odpowiadałoby może dzisiejszemu słuchaczowi proponowanie (tak, właśnie reewangelizacja, po 1000-u latach chrześcijaństwa) Chrystusa, wiary, przykazań w sposób zrozumiały. Ludzie na ogół niby, owszem, wierzą, ale bardzo wybiórczo, bez głębszej znajomości rzeczy, tak właśnie od święta. Miłość pełna roztropności i szacunku dla każdego człowieka i każdej postawy pomoże nam znaleźć i ludzi, i metody i ufną cierpliwość.

I jeszcze sprawa naszej dzisiejszej rzeczywistości.

Z pewnością przyczyniliśmy się do tego jako Kościół, że zewnętrzna struktura komunizmu odeszła od nas niespodziewanie łatwo i bezboleśnie. Pamiętam, jak to przed wieloma laty pytano, jakie mogą być sposoby pozbycia się z Polski wojsk radzieckich? Odpowiedź brzmiała: są dwa sposoby, jeden normalny, gdyby Pan Bóg wysłał dziesięć tysięcy hufców anielskich i „ruskich” przepędził, a drugi cudowny: gdyby oni sami sobie poszli. Byliśmy więc świadkami niejakiego cudu. Wielka część społeczeństwa wierzyła dość naiwnie, że „kiedy sobie poszli” ci i tamci, to „teraz już będzie dobrze”. Tymczasem Ks. Prymas Wyszyński, jeszcze w roku 1980 mówił w Częstochowie do „Odrodzenia”: Nie chodzi o to, żeby klucze kasy państwowej dostały się z rąk jednej klikki złodziei w ręce drugiej klikki złodziei. Człowiek się musi zmienić. A człowiek się nie zmienia. Wręcz przeciwnie, wydaje się, że dopiero teraz gdy ustała presja polityczna, pokazuje w pełni swe egoistyczne oblicze, nie liczące się z niczym poza własną korzyścią. Okazuje się bezwzględny, gdy mu się powiodło, często przy użyciu niegodziwych środków, a załamany, do tego często agresywny, gdy traci grunt

pod nogami. W minionym okresie opozycja wszelkiej maści widziała w Kościele azyl i jedyną siłę mogącą się przeciwstawić ówczesnej polityce gospodarczej, społecznej, ideologicznej. Dzisiaj na ogół Kościół nie jest punktem odniesienia i miejscem nadziei dla tych, którzy są w trudnej sytuacji. W dodatku środki masowego przekazu robią wszystko, by udowodnić, że Kościół (a więc głównie kler) winien jest temu, co było, jest i będzie złego. Wielu temu wierzy i woła „komuno wróć”. A przecież by nie odeszła, gdyby była idealnym rozwiązaniem społeczno-gospodarczym!

Jestem przekonany, że ten antyklerykalizm minie, ale kiedy to nastąpi, zależy w dużej mierze od nas samych. Kierunki naszego postępowania wyznaczają słowa Chrystusa: „... abyście się wzajemnie miłowali, tak jak ja was umiowałem.” (J 15,12) oraz „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują” (Mt 5,44). Echem ich są słowa Jana XXIII, że Kościół dla nikogo nie jest wrogiem, a także Jana Pawła II - nie ma imperializmu Kościoła - jest tylko służba! Wobec wielości postaw, opcji politycznych i społecznych nie możemy dać się wmanewrować w walkę, w sytuację oblężonej twierdzy. Jeśli walczymy, to z grzechem. Zawsze godnie i spokojnie, ufni w zwycięstwo z Chrystusem. Każdy zaś człowiek jest nam dany i zadany po to, by go doprowadzić do Chrystusa. Nasza postawa musi być taka, byśmy do każdego, choćby się uważał za wroga Kościoła, mogli w ostatecznej czy przedostatniej godzinie jego życia podejść i ofiarować mu z miłością możliwość pojednania w Chrystusie. Kościół jest dla świata, Eucharystia jest dla świata!

Oczywiście, trzeba wiernym wskazać dobro i zło w programach i wystąpieniach rozmaitych ugrupowań i osób, ale tonacja naszych wypowiedzi musi być zdecydowanie różna od tego, co słyszymy z ust polityków i publicystów: spokojna, bez inwektyw i wyzwisk, z rzeczową i udokumentowaną argumentacją, bez wycieczek osobistych (a jeśli czasem zajdzie taka potrzeba, pokornie, inteligentnie i taktownie). Owszem, jesteśmy ludźmi, wiemy jak trudno jest opanować niekiedy emocje, ale tu właśnie kontakt z Jezusem Eucharystycznym, przemyślenie trudnych spraw przed Najświętszym Sakramentem, zaczerpnięcie od Pana uniwersalnej miłości może pomóc w przywróceniu Kościołowi i duszpasterzom autorytetu, tam gdzie został on poderwany i osłabiony.

Całe nasze duszpasterzowanie powierzamy z ufnością Maryi, Matce Jezusa Eucharystycznego i naszej Matce. Wiemy, jak Jej zależy na Kościele Jej Syna. Dlatego też z ufnością powtarzamy za Janem Pawłem II:

„O Maryjo, Matko Miłosierdzia, czuwaj nad wszystkimi, aby nie był daremny Krzyż Chrystusa, aby człowiek nie zgubił drogi dobra, nie utracił świadomości grzechu i umiał coraz głębiej ufać Bogu bogatemu w miłosierdzie (Ef 2,4), by z własnej woli spełniał dobre czyny, które Bóg z góry przygotował (por. Ef 2,10) i w ten sposób żył ku chwale Jego majestatu (Ef 1,12).”